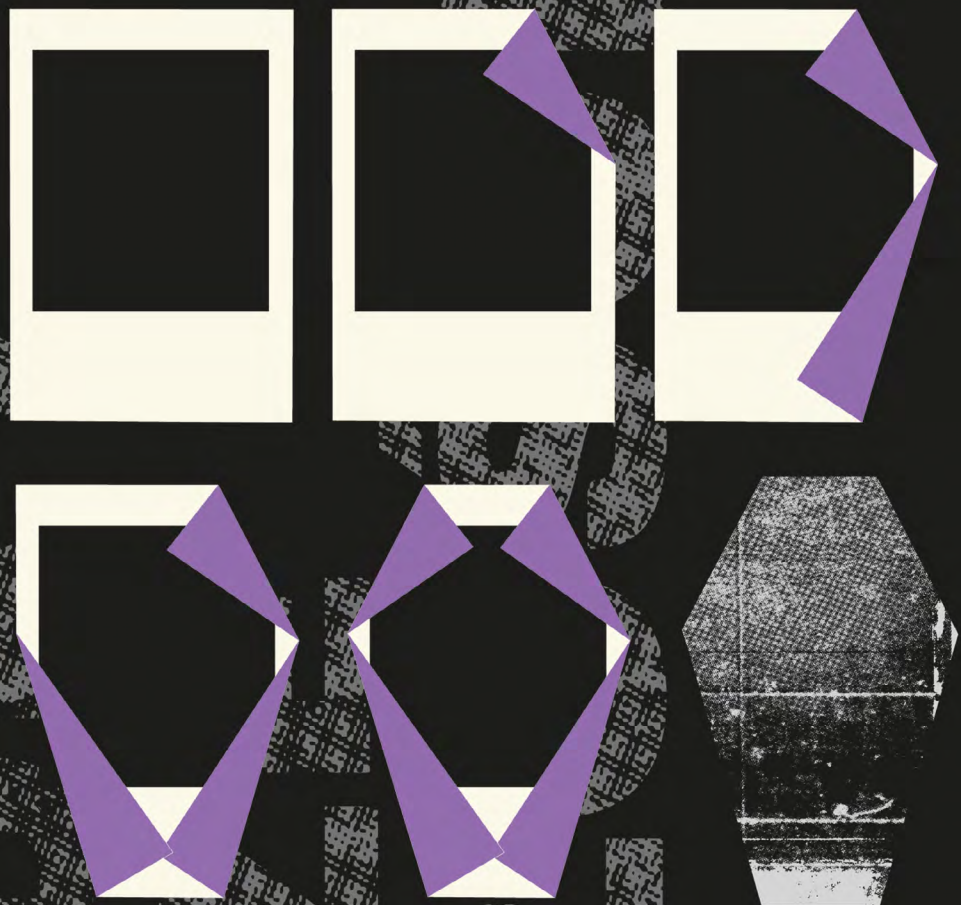




Marcin P. Kowalski

KADRY PRZE— SZŁOŚCI

SENOJA

Marcin P. Kowalski

Kadry przeszłości

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

ZOFIA STYBOR

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Marcin P. Kowalski 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN druk: 978-83-67935-67-8

ISBN e-book: 978-83-67935-68-5

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

*Dla Zuzanny,
bez której nie zostałbym pisarzem.*

Prolog

Jarek skręcił z Armii Krajowej w przylegającą ulicę i jego żołądek skurczył się nieprzyjemnie. Prześwit pomiędzy budynkami przechodził w długą drogę, oświetloną rzędem żółtych latarń, która kończyła się blokiem na Sikorskiego — jego blokiem. Zwykle w tym miejscu zęgał podwórko, czyli gasił papierosa, którego ścisnął za filtr przełamaną gałązką, zbijał piątkę z Hubertem, by na koniec snuć się nieśpiesznie, rozmyślając o czekającej go kolacji. Taka mała tradycja na zakończenie dnia. Zwykle nawet nie zmieniał kolejności. Zwykle... lecz nie dziś. Dziś był ten wyjątkowy czas, kiedy stumetrowa żółta droga rozciągała się do zielonej mili. Wszystko za sprawą światła w mieszkaniu na pierwszym piętrze. Wychodząc ze swojego pokoju, zostawił je wyłączone, a teraz jasny kwadrat budził w nim lęk niczym czerwien znaku stop. Ojciec już na niego czekał, choć o tej godzinie sprzed telewizora trzeba by go odciągać dźwigiem ewentualnie kanapką z tuńczykiem. Zazwyczaj światło o tej porze skutkowało krzykiem, szlabanem na komputer oraz całonocnym rozstrojem żołądka.

Jarek zaklął pod nosem. Czyżby te dwóje z bioli i histy miały mu skutecznie spieprzyć wieczór? A planował ogrywać

Counter Strike'a na streamie. Niech to szlag trafi, pomyślał. Tucholska i Popierz, głupie krowy, już mogły wpisać oceny do elektronicznego dziennika i ojcu — jak na złość — zachciało się akurat dziś do niego zajrzeć. W ich rodzinie to matka doglądała spraw związanych z edukacją, ale choć od tygodnia była na konferencji naukowej, mogła załatwić sprawę jednym telefonem. Szesnastolatek pokręcił głową ze zrezygnowaniem.

— Będą dymy... — mruknął pod nosem i zwolnił kroku. Choć dochodziła dziesiąta, godzina, o której obiecał wrócić z osiedla, wołał odrobinę opóźnić konfrontację. Nawet za cenę dodatkowych chmurnych spojrzeń.

Rozmowy o ocenach zdążył już przeprowadzić w każdy możliwy sposób, toteż przygotowany był na cały wachlarz wyrzutów. Ostatecznie chodziło o wysłuchanie krzyków, pokorne przyjęcie kary i wyrażenie chęci poprawy, zazwyczaj zakończone trzaśnięciem drzwiami. Taka domowa wizyta w konfesjonale. Odklepać swoje i ruszyć dalej, niekoniecznie z pragnieniem poprawy, a co dopiero mówić o zadośćuczynieniu. Najważniejsze z „przykazań” — żeby pyskować tylko do momentu, po którym każde kolejne słowo czy spojrzenie boli jak uderzenie w twarz. Szczerze mówiąc, Jarek nie chciał sprawdzać, do czego ojciec byłby w stanie się posunąć. Widok jego czerwonej twarzy, przekrwionych oczu i dłoni to zaciśniętych w pięści, to otwartych, jakby rozważał, czy przyłożyć synowi prawym prostym czy z liścia, w zupełności Jarkowi wystarczyło. A Grzegorz dłonie miał silne i sztywne jak deski, które obrabiał w pracy; do tego stopnia, że pozostawało zagadką, czy lepiej się z nim witać przybijając piątkę, czy

uściskiem dłoni. Obie wersje były bolesne.

Z zamyślenia wyrwała go postać, która nadchodziła z naprzeciwka. Kobieta w obszernym, trochę podniszczonym futrze. Sama w nocy i — jeśli dobrze słyszał, mamrocząca coś do siebie pod nosem. O dziwo, szept był wyraźny, jakby kradł z otoczenia inne odgłosy — zniknął odległy szum aut, kroki, świst wiatru — chociaż chłopak nie rozróżniał w nim żadnego słowa. Mówiła w nieznanym mu języku. Kiedy spojrzała mu w oczy, Jarek zeszytniał ze strachu. Była starsza, niż to wcześniej ocenił po jej prężnym kroku. Pewnie w wieku jego ojca. Bez wyraźnego powodu zagroziła mu drogę i zatroskanym głosem spytała:

— Co cię trapi, młodzieńcze?

— Yyy... Nic, nic. Wracam do chaty, po prostu.

— Wyglądasz, jakbyś miał dostać rozwolnienia — zaświergotała z uśmiechem.

Jarek stał osłupiały. Jej słowa były dziwne, niepasujące ani do wieku ani do rozmowy z nieznajomym. Wygląd także. Futro wybrzuszało się na niej, jakby pod spodem nosiła pas szahida, gęste kręcone blond włosy opadały na ramiona, a w oczach za grubymi okularami czał się błysk ciekawości, który równie dobrze mógł być błyskiem oblędu. A jednak ze sraczką trafiła.

— Pewnie dlatego że to prawda — powiedział i na widok oczu bez wyrazu, jakby łapały ostrość, postawił sztywny krok w stronę domu. Walczył z chęcią ucieczki. Kobieta capnęła go za łokieć chwytem godnym kamieniarza, który zjadł zęby na swoim rzemiośle. Zatrzymała go w miejscu.

— Ej, co pani robi? Proszę mnie puścić. Zwariowałaś, starucho?

— Weź to, chłopcze — powiedziała i wolną ręką sięgnęła do kieszeni. — Przyda ci się.

Wepchnęła mu do ręki paczuszkę i puściła. Miejsce, w które wpijała palce, zabolalo mocniej niż dłoń po ojcowskim uścisku. Chciał oddać kobiecie pudełko, lecz już odchodziła: spokojnym krokiem, jakby do niczego nie doszło, nawet powróciła do mamrotania pod nosem. Spojrzał pod światło, by sprawdzić, co trzyma w ręce.

Co za szurnięta starucha!

Węgiel aktywny? Zmarszczył brwi. Na co mu to? Pokręcił głową i prychnął pod nosem. Kto nosi takie rzeczy w kieszeni? Szuria jakaś.

Spojrzał za obcą kobietą, ale nie zobaczył nikogo. Nikogo. Rozpłynęła się w cieniach nocy, jak gdyby nigdy nie istniała. Stał z rozdziawionymi ustami, aż deszcz przywrócił go do rzeczywistości. Schował węgiel do kieszeni i pobiegł do domu.

Wpisał kod do klatki i rozległ się krótki świerkoczącodudniący dźwięk. Jego żołądek zawtórował domofonowi serią burknięć.

Już wie, że wróciłem... — pomyślał, po czym westchnął i ruszył po schodach, zastanawiając się, czy dziś nadszedł dzień, kiedy ojciec go uderzy. Czasem by nawet wołał to, od słuchania krzyków i wyrzutów, brzmiących na ogół: „Ufamy ci, bo już prawie jesteś dorosły, i co?!”; „Syn-pijak, naprawdę? Szesnaście lat i już chlejesz? Chcesz skończyć jako śmieciarz?”; „Poczekaj, aż powiem matce, że dałeś w łeb Maćkowi,

poczekaj tylko, pożegnasz się z kompem do końca roku, przysięgam!”. Lepiej chyba dostać pasem w dupę, przyjąć szlaban na telefon, czy komputer, niż słuchać wciąż tych samych polajanak. A może nie? Może rozczarowanie w oczach ojca, czy nauczycieli boli znacznie bardziej? Powoli zaczynał mieć to gdzieś.

Jarek znał zasady rodziców. Jeśli je łamał, robił to świadomie i jeżeli go przyłapali, to zwykle nie dzięki swojemu sprytowi, tylko dlatego że spieprzył i kara stanowiła formalność. Na co mu umoralniająca pogadanka, która tylko przedłuża tortury i męczy uszy?

Drzwi z numerem osiemdziesiąt trzy stały otworem. Żołądek zabolął, jakby pizza, którą zjadł trzy godziny temu, okazała się implantem odrzuconym przez organizm, który teraz chciał wyrzucić ją ze środka i nie obchodziło go, którą stroną wyjdzie.

Jarek odetchnął ciężko, zacisnął szczęki i wszedł do środka.

— Zamknij drzwi — powiedział ojciec zimnym tonem, niepasującym do jego rozpalonej złością, czerwonej twarzy i palącego spojrzenia. Jarek po raz pierwszy pomyślał, że może jednak ma na sumieniu coś więcej, niż tylko złe oceny. Ale co? — Tato, jeśli chodzi o te dwójki... — zaczął, ale ojciec przerwał mu jednym gestem. Wyciągnął rękę zza pleców. To, co w niej trzymał, zmroziło Jarkowi krew w żyłach. Nagle zapomniał języka w gębie. Na szczęście pierwszy szok szybko ustąpił rozsądkowi. Ojciec, nie znając kontekstu, zapewne obwinia go o najgorsze, ale...

— Co... To... Jest? — wycedził Grzegorz przez zęby.

— Ma-ma-marycha — wyjąkał, patrząc na strunowy woreczek wypełniony suszem, ale zaraz odchrząknął i powiedział: — To nie moja. Groszek poprosił mnie o przechowanie...

Ojciec zbliżył się do niego na odległość nie ciosu, a pocałunku, lecz w jego oczach brakowało miłości. Grzegorz długo stał i patrzył, a syn dostrzegał każdą żyłkę w białkach jego oczu. Ojciec oddychał niczym rozzłoszczony byk. Nagle wszystko dookoła stało się dla Jarka interesujące, nawet biała ściana — byle nie patrzeć w te jednocześnie wściekle i zimne oczy — jednak gdyby teraz uciekł wzrokiem, dałby ojcu jasny sygnał, że kłamie. A mówił prawdę. Groszek zostawił mu dwa gramy na przechowanie, ponieważ jego rodzice byli bardziej wścibscy niż Grzegorz Marciniak. Ten drugi często przedkładał telewizję nad kontrolę, lecz kiedy pytał: „jak w szkole?”, to odpowiedź: „dobrze”, zwykle go nie satysfakcjonowała. Tego nauczyła go żona. Kiedy już rozmawiali, poświęcał synowi całą uwagę, choć niektóre z pytań wkraczały w prywatną sferę Jarka. Teraz zaś wzrok ojca penetrował każdą sferę; wiercił mu dziurę w duszy. Borował sumienie. Dręczył go niczym psychopatyczny dentysta.

Jarek pomyślał, że nadszedł dzień, w którym ojciec ulży swoim swędzącym dłoniom. Chłopak napiął mięśnie, gotów zablokować ewentualny cios.

— Mówię prawdę... — powiedział w końcu. Nie mógł już znieść tego spojrzenia i kwaśnego oddechu.

Grzegorz zrobił krok w tył, mimo że Jarek ciągle czuł się osaczony. Chłopak stał przyciskając plecy do drzwi, a krew szumiała mu w skroniach. Ojciec cmoknął i powiedział:

— Słuchaj, synek, przymknąłem oko na tę bajeczkę, że Hubert przy tobie jara i dlatego śmierdzisz fajami. Nie jestem głupi, sam kiedyś byłem nastolatkiem i uważam, że każdy potrzebuje swobody. DO PEWNYCH GRANIC. Natomiast to — pomachał woreczkiem przed twarzą syna — to jest ta granica. Nie. To znajduje się dobre trzy kilometry za pieprzoną granicą.

— Daj spokój, tato — odparł Jarek. Złość ojca była zupełnie nieadekwatna do sytuacji. Mocno przesadna. — Suszysz mi głowę za odrobinę zioła, którego ani nie zapaliłem, ani nawet nie jest moje...

— Policja ma gdzieś twoje intencje! — ryknął. — Posiadasz i już. Myślisz, że jak komuś rozbijesz łeb na ulicy, to kogośkolwiek będzie obchodzić, czy tamten zaczął? Ubijesz bezzębego, pijanego śmiecia, co chciał cię okraść, a idziesz do paki jak za człowieka. Posiadasz, masz problem. Chęci bledną przy konsekwencjach. Tyle.

Abstrakcyjna argumentacja ojca sprawiła, że Jarek nabrał więcej odwagi.

— Od razu policja? Gdzie niby miałyby mnie złapać z towarem? W domu, czy w autobusie do szkoły? Jutro miałem mu oddać torbę i essa.

Jarek wyciągnął rękę po marychę, lecz ojciec ją odsunął.

— Jeszcze za młody jesteś, żeby zrozumieć, czym ryzykujesz...

— Żadne ryzyko. Mówię prawdę, to zielone Groszka.

— Nie wierzę ci. Jesteś mądry chłopak i potrafisz na poczekaniu wymyślić przekonującą bajkę. A nawet jeśli to jego,

chłopie, powinienes z większą uwagą dobierać przyjaciół. Znałem ojca Groszka, to był kawał śmiecia. Widać niedaleko pada zgniłe jabłko od jabłoni, ale prędzej zdechnę, niż pozwolę, żebyś też spleśniał.

— Dobra, rozumiem — mruknął Jarek ponurym głosem, a później wyciągnął rękę po woreczek. — Muszę to oddać...

— Chyba sobie żartujesz. Po naszej rozmowie towar wędruje prosto do kibla.

Jarek chciał zaprotestować; wykrzyzczeć, że to niesprawiedliwe; że jeszcze będzie musiał oddać kumpłowi szmal. Zobaczywszy jednak mord w oczach ojca, mimo otwartych ust nie był już wstanie wymówić ani słowa.

— Najwyraźniej trzeba ci wszystko tłumaczyć jak trzyletniemu dziecku. Wobec tego od dziś nie chcę tu widzieć żadnych, ale to **ŻADNYCH** narkotyków. Żadnych, zrozumiano?

Jarek zdusił pragnienie, żeby uświadomić ojca o nieszkodliwości marihuany, kampaniach społecznych, sprawie Maty, umarzania spraw za posiadanie i o tym, że w cywilizowanych krajach jest legalna, a wręcz prozdrowotna. W końcu ojciec był boomerem — skąd miał wiedzieć? Grzegorz stronił nawet od alkoholu. Czuł jednak, że to nie czas na podobną dyskusję. Ojciec i tak ledwie nad sobą panował. Jarek bał się, że te sprawowane, twarde ręce zostawiłyby trwale ślady na jego ciele.

Z udawaną pokorą w oczach jedynie krótko kiwnął głową.

— Co więcej, widzę, że dużo daliśmy ci z matką swobody — rzekł ojciec. — Za dużo. Oboje sądziliśmy, że masz więcej oleju w głowie, chłopie. Skoro nam udowodniłeś, że się myliliśmy, to od dziś będziesz traktowany jak dziecko. Sam sobie

będziesz tylko dupę wycierał. Dopóki nie wykażesz, że jesteś odpowiedzialnym facetem, dopóty nie zaufam ci w żadnej kwestii.

— Pfff — prychnięcie opuściło usta Jarka mimowolnie, ale gdy już wyszło, pociągnęło za sobą kolejne słowa: — Mam szesnaście lat...

— Co oznacza, że ani nie jesteś dorosły, ani samodzielny. Mieszkasz tu, gdzie warunki ustalają osoby opłacające czynsz. A właściciele nie tolerują takich substancji w lokalu. Skoro wymagasz ścisłego nadzoru, dostaniesz go wedle potrzeb i nawet na zapas. Nie zostaniesz ćpunem, młody. Po moim, kurwa, trupie.

Ojciec się odwrócił i poszedł do łazienki. Jarek poszedł za nim. Zdążył zobaczyć, jak torba wpada do toalety, by zaraz po spuszczeniu wody zniknąć w odpływie. Sto złotych i zaufanie Groszka połknęła dziura na gównu, pomyślał wściekły Jarek. Stary powtarza frazesy matki o zaufaniu, komitywie i Bóg wie czym jeszcze, a zobaczywszy zwykły woreczek z trochę niezwykłą zawartością, przestaje słuchać syna. Ot tak. Żadnych szans na wyjaśnienia. A przecież powiedział prawdę — to nie jego sprzęt.

— I wiesz, co? — spytał Grzegorz.

— Co...

— Może mi nigdy nie podziękujesz...

— Na pewno — rzucił Jarek, ze skrzyżowanymi ramionami.

— ... ale robię to dla twojego dobra.

Jarek z niedowierzaniem pokręcił głową. Wiedział, jak rodzice tłumaczą swoje debilstwa, ale żeby nawet teraz?

Jelita Jarka dopraszały się o uwagę.

— Wyjdź stąd... — powiedział młody, zaciskając pośladki z całej siły.

— Torba już poszła do rybek, nawet się nie łudź, że coś wyłowisz.

— Muszę skorzystać z kibla.

Ojciec zmierzył go ostrym spojrzeniem, a potem po prostu wyszedł. Kroki stawiał tak stanowczo, jakby chciał rozwalić płytki podłogowe.

Bulgotanie w żołądku było nie do zniesienia i przez dobre kilka minut bał się podnieść tyłek z sedesu. Wtedy też dostrzegł, że z kieszeni spuszczonej spodni wystaje róg pudełka. Węgiel aktywny od zwariowanej kobiety, o której zdążył już zapomnieć. Miała rację — przyda się mu, jak nic innego. Wziął kilka tabletek, bez zwracania uwagi na zalecenia dotyczące dawkowania, i popił wodą z kranu. Później wyszedł z łazienki gotowy na kolejną porcję wyrzutów.

Prawdziwe piekło jednak Grzegorz rozpętał miesiąc później, gdy wywęszył od syna smród marihuany. Ciągłe go nie uderzył, natomiast ogromnie utrudniał mu życie. Z dwojga złego Jarek wybrałby regularne lanie.